

„Na początku podróży nie tyle ważny jest cel, co samo przesuwanie się w przestrzeni i czasie” - pisze Olga Tokarczuk¹ i od razu nasuwa się pytanie: czy aby na pewno tylko na początku? Zaraz po nim pojawiają się kolejne: czym właściwie miałby być ten „cel”? Rozumieć go jako punkt końcowy, miejsce na mapie, do którego zmierzamy, czy może raczej jako enigmatyczne wypełnienie zadania, bardziej lub mniej konkretną realizację powziętego zamiaru? I czy rzeczywiście każdej podróży towarzyszy jasno sprecyzowany cel? A może przekonanie o tym, że wiemy dokąd i po co zmierzamy jest zwykłą ułudą, tracącym kontury się gdzieś po drodze mirażem, walącą się fasadą? Może sami nie rozumiemy tak naprawdę nie tylko po co wyruszyliśmy, ale też – dlaczego? Dlaczego właściwie podróżujemy? Skąd w nas ta potrzeba?

I. POZNANIE

W „Podróży ludzi Księgi” czytamy, że „podróżujący ludzie stają się mądrzejsi nie tylko dlatego, że wciąż doświadczają nowych widoków i zdarzeń, ale przez to, że sami dla siebie stają się mijanym pejzażem, na który można popatrzeć z kojącego dystansu. Dostrzega się wtedy więcej niż szczegóły” [podkreślenie moje – WP].² Nie będzie to chyba niczym odkrywczym ani nieustalonym od dawna w kulturze i literaturze (Kordian i Wokulski, by nie szukać daleko), jeśli przywołam ideę podróży w przestrzeni jako podróży w głąb siebie. Wyrwanie z twardej otoczki codzienności i podjęcie fizycznego ruchu staje się okazją do lepszego przyjrzenia się sobie samemu. Oglądanie się codziennie z innej perspektywy, w innym otoczeniu, sprzyja autorefleksji. Każdy kolejny etap podróży staje się nowym rozdziałem w pogłębiającym się samopoznaniu. Kręte i krzyżujące się drogi świata jako metafora labiryntów kryjących się w ludzkim wnętrzu to motyw, który przybiera bardzo dosłowną postać w „Biegunach”, gdzie temat podróży po świecie współistnieje na równych prawach z powracającym wątkiem odkrywania tajemnic ciała i skomplikowania jego organów. Sieci dróg i rzek to odpowiedniki sieci naczyń krwionośnych, plan lotniska to przekrój poprzeczny kręgosłupa itd. Wszystko sprowadza się do jednego – poznania.

Jest to chyba najbardziej rudymen tarne pragnienie człowieka. Bez owej palącej potrzeby nie rozwinęłyby się nauka, nie byłoby postępu. Oczywiście – zdobycze cywilizacji służą też i doraźnym celom: anatomia jest potrzebna medycynie a ta z kolei istnieje po to, by ratować i przedłużać życie, impulsem w rozwoju fizyki jądrowej było zapotrzebowanie militarne etc. Czymże jednak jest w swej najgłębszej istocie ta ambicja do odkrywania, stawiania pytań i szukania odpowiedzi? Czymże są w gruncie rzeczy wszystkie dziedziny nauki, jeśli nie efektem odwiecznej dążności do ostatecznego poznania? Badania astronomiczne - albo te prowadzone nad

¹ O. Tokarczuk, „Podróż ludzi Księgi”, Warszawa 1996, s. 46.

² *Ibidem*, s. 47.

ludzkim mózgiem - służą zasadniczo dotarciu do odpowiedzi na nurtujące wciąż ludzkość kwestie: kim jesteśmy? jaki jest sens istnienia? Chcemy do końca zbadać reguły rządzące wszechświatem po to, by rozwiązać najbardziej podstawowe problemy egzystencjalne. Rozwiązanie problemów egzystencjalnych natomiast jest nam nieodzowne do dowiedzenia się czegoś o sobie, o moim indywidualnym „ja” - czym ono właściwie jest, co stanie się z nim po śmierci. Tak naprawdę każda nowa zdobycz nauki sprowadza się więc do cząstkowego zaspokojenia niegasnącej potrzeby coraz głębszego samopoznania. Nie tylko zresztą nauka, ale i kultura jako całokształt działań człowieka pełnią w swej najpierwotniejszej podstawie tę właśnie - chciałoby się rzec egocentryczną - funkcję - odkrywania siebie kawałek po kawałku.

Skoro wszystko, co robimy, jest połączone tym jednym mianownikiem - stanowi formę poznania - również i podróż oraz jej cel i sens byłyby sposobem na umiejscowienie naszego „ja” we wszechświecie. Wyruszamy w drogę z tego samego powodu, dla którego rozszczepiamy atomy. Przecież nie każdy jest naukowcem, mającym możliwości i predyspozycje do wyodrębniania pierwiastków. Pozostając w miejscu bardzo szybko zbadamy, dogłębnie poznamy i opiszemy wszystko, co nas otacza. Pragnienie dojścia do prawdy ostatecznej nie zniknie, jest wpisane w naszą naturę, chcemy czegoś dalej, więcej. Co więc nam pozostaje? Wydaje się, że najpowszechniej obierane są dwie drogi; jedną nazwijmy roboczo „księgami”, druga zaś to oczywiście podróż. Wyruszenie z miejsca. Zmiana otoczenia na takie, w którym napotkamy coś nowego i nieznanego, co domaga się zdefiniowania. „Księgi”, a więc - i jest to oczywiście niewybaczalne niemal uproszczenie - literatura wszelkiej maści pełni przecież często tę samą funkcję, co podróż. Czytanie bywa nieraz i substytutem, a więc i pewną formą podróży - by wspomnieć genezę powieści awanturniczych, przewodników i relacji z wypraw, które powstawały pierwotnie dla ludzi pragnących zaspokoić swoje naturalne pragnienie poznawania świata, lecz niemogących sobie pozwolić na wyruszenie w drogę. I właśnie ten aspekt podróżowania - jako poszukiwania sensu - wydaje się najmocniej wybrzmiewać w twórczości Olgi Tokarczuk. Najmocniej, choć nie samotnie. Noblistka nie daje wszak ostatecznej odpowiedzi na to, czym tak naprawdę jest to wieczne łączęgostwo, nawet w „Biegunach” pytanie o to pozostaje, jak się zdaje, otwarte.

Ale to właśnie dążenie ku ostatecznej Odpowiedzi staje się przyczyną tytułowej eskapady w debiutanckiej i bodaj czy nie najpiękniejszej, choć dziś już nieco przyćmionej i zapomnianej (nawet w obliczu erupcji noblowskiego entuzjazmu) powieści pisarki. Księga występuje tu jako symbol tego, o czym marzymy i do czego dążymy i już samo to dążenie staje się celem samym w sobie, osiągnięcie bowiem tej ostateczności jest niemożliwe. Podobnie jak u Lema, tak i tutaj poznanie prawideł świata leży poza ludzkim zasięgiem. Autorka daje nam to jasno do

rozumienia. Czy jednak znaczy to, że nie należy szukać? „Podróż ludzi Księgi” kończy się niepowodzeniem. Bohaterowie predestynowani do odnalezienia Księgi zawierającej odpowiedzi na wszystkie fundamentalne pytania i mającej zmienić oblicze świata nigdy nie docierają na miejsce. Księgę odnajduje Gauche - niemowa i analfabeta, nie będący w stanie zrobić z niej żadnego użytku. Podróż nie miała sensu. Nie dowiemy się, co skrywał tajemniczy, mityczny wolumin. Pod koniec książki narrator(ka) przyznaje, że ani Gauche, ani żadna inna postać, ani nawet cała ta opowieść nie mają żadnego znaczenia, po czym niejako sumituje się: „(...) chciałoby się powiedzieć coś na usprawiedliwienie opisu tej podróży”.³ Oczywiście wyczytujemy tu implikowany przekaz w myśl którego narrator(ka) sam(a) dobrze wie, że żadnego usprawiedliwienia nie potrzebuje. Każdy, kto choć trochę interesuje się dziejami świata, nie zastanawia się ani chwili nad odpowiedzią na pytanie czy warto opowiadać o czymś, co nie miało sensu. Historia, zwłaszcza ta rodzima, pełna jest przecież działań kończących się fiaskiem, „krwi przelanej na próżno”. Czy to znaczy, że nie warto o tym mówić? W zasłyszonym ostatnio fragmencie rozmowy jedna z moich rówieśniczek stwierdziła, że nie widzi sensu w nauczaniu historii, bo to, co się zdarzyło, nie ma żadnego znaczenia. Słowa te, przy całym moim poparciu dla wysuniętej przez nią skądinąd tezy, że historia nie powinna sprowadzać się do zagadnień natury polityczno-wojskowej, jednak wydały mi się absurdalne. To tak jakby powiedzieć: „Nie obchodzi mnie, skąd tu się wziąłem. Nie wiem, skąd przyszedłem”. Czy możesz wiedzieć dokąd idziesz – czy możesz w ogóle mieć jakiś cel – jeśli nie pamiętasz skąd wyruszyłeś? Nie każdy jest Jasonem Bourne’em. Warto więc podróżować na próżno. Wyprawa bez upragnionego finału pozostaje wyprawą.

II. BRAK SENSU

Gdy widzę turystów i ich turystyczne aktywności, zadaję sobie pytanie: po co? Gdy sama przyłapuję się na robieniu tego samego, też pytam się: po co? Z pozoru wydaje się, że zawsze można wyodrębnić jakiś cel, dla którego jeździmy tam, gdzie męczyć nas będzie tłum; robimy dostępne bez trudu w Internecie zdjęcia zabytkom i miejscom uwiecznianym już miliony razy w ten sam sposób; zwiedzamy słynne muzea, chociaż nas nudzą; jemy w polecanych restauracjach, chociaż jest tam dla nas za drogo. Celem może być wypoczynek, chęć skosztowania egzotycznej kuchni, utarte „zwiedzanie świata”. Prawdziwe cele nie zawsze są uświadomione. Występuje rozbieżność między tym, co „oficjalne” („jadę, by się czegoś nauczyć”) a tym, co podskórne („jadę, by chwalić się znajomym, że się czegoś nauczyłem”). Pierwotny cel często rozmywa się gdzieś po drodze i sami nie zauważamy, że zupełnie stracił na znaczeniu, a my podróżujemy już jedynie dla samego podróżowania. W pewnym momencie zdałam sobie sprawę, że tak naprawdę

³ *Ibidem*, s. 215

nigdy nie podróżuję w jakimś konkretnym celu. Przecież nie znoszę niewygód pociągu przez dziesięć godzin by zdobyć sto polubień pod postem na Instagramie. Więc po co je znoszę? Przeszłam kiedyś ponad sześćset kilometrów pieszo w najdłuższej pielgrzymce do Częstochowy. Zastanawiałam się, po co idą w niej ludzie tacy jak ja, pozbawieni pobudek religijnych, i odkryłam, że chodzi głównie o przygodę. „Rzeczą Boską jest cel i punkt wyjścia, rzeczą człowieka jest niecierpliwość i wiara w przypadek oraz oczekiwanie przygód...”, czytamy w „Księgach Jakubowych”.⁴ Moje pielgrzymowanie nie miało ustalonego sensu, było rzuceniem się na szerokie wody (czy też może raczej szerokie pola uprawne) nieznanego, które miało mi przynieść niespodziewane przeżycia. Był jeszcze jeden powód: ucieczka. Pielgrzymka to trzy tygodnie poza swoim życiem. Kompletnie inny rozkład dnia, inne priorytety, inny świat. W drodze nie ma już nic poza bólem obtartych nóg, potwornym gorącem i pragnieniem dojścia w jakiegokolwiek miejsce, by tam wreszcie spocząć. Każda noc w innym miejscu, na podłogach salek katechetycznych, w remizach, w cudzych łóżkach i obcych mieszkaniach. I każdego wieczoru trzeba niejako konstituować się od nowa, odpowiadając na zawsze te same pytania gospodarzy: jak masz na imię, ile masz lat, skąd przybywasz. Problemy dotychczasowej codzienności pozostają tak daleko, jak daleko pozostał nasz dom.

III. UCIECZKA

To właśnie znalazła w swoim podróżowaniu Annuszka z „Biegunów”. Bezsensowna tułaczka była okazją do odcięcia się od życia i domu, w którym była nieszczęśliwa. Jeżdżąc metrem w tę i z powrotem dzieliła los wszystkich wagarowiczów i bezdomnych świata, nie mających co ze sobą począć. To ucieczka jest głównym motywem najważniejszego traktatu „Biegunów”. „Ruszaj się, kiwaj, kołysz, idź, biegnij, uciekaj”, radzi zakutana biegunica⁵ i jest to remedium na szarość egzystencji, formalizm, poddanie władzy i wtłoczenie w sztywny schemat. Zmiana kontekstu to też zmiana naszej podmiotowości, co uświadamia Nachmanowi Jakub w „Księgach...”: „Najlepiej jest mu w nowym miejscu, bo wtedy jakby świat zaczyna się na nowo. Być obcym to być wolnym”.⁶ Uciekamy więc w pewnym sensie przed nami samymi i w tym chyba tkwi ukryty cel większości wagabundów. (Ludzie podążający za Jakubem Frankiem również opisywani są jako uciekinierzy przed własnym życiem, którzy w tej cudzej drodze odnajdują zastępczy sens). Przytoczony przeze mnie na początku cytat o nas samych jako mijanych pejzażach też można rozumieć dwojako: jako podróż w głąb siebie, ale też jako ucieczkę przed sobą.

IV. NAJLEPIEJ MYŚLI SIĘ W RUCHU

⁴ O. Tokarczuk, „Księgi Jakubowe”, Kraków 2014, s. 649.

⁵ O. Tokarczuk, „Bieguni”, Kraków 2007, s. 291.

⁶ O. Tokarczuk, „Księgi Jakubowe”, Kraków 2014, s. 732.

W okresie dojrzewania nabrałam niepokojącego być może zwyczaju chodzenia bez celu od ściany do ściany i zagłębiania się w swoich myślach. Zyskałam przez to nawet przydomek Tuptuś, Tupt. „Tupt tu tupta” mawiała moja matka. „Kim jesteście. Dokąd tuptamy?”. Nikt nie rozumiał, co się ze mną dzieje. A ja do dzisiaj, gdy wpadnie mi do głowy jakiś pomysł, muszę rozwinąć rozpoczętą myśl podczas chodzenia. Pisząc ten tekst wstawiałam kilka razy, by przejść się po pokoju. „Człowiekowi najlepiej myśli się w ruchu” napomyka Tokarczuk już na pierwszych stronach swego *opus magnum*⁷. Tylko właściwie dlaczego tak jest? Może dlatego, że gdy idziemy, nasz ruch jest dominującą, a często i jedyną aktywnością. Mało co może nas rozproszyć i odwrócić bieg naszych rozmyślań, bo otoczenie jest niestałe, zmienia się z sekundy na sekundę. „Podróżowanie jest najgłębszym doświadczeniem przemijalności i zmiany oraz nieprzywiązywania się do szczegółu”.⁸ „Myśl ma wtedy tyle miejsca, że może leniwie płynąć”.⁹ Jedynym stałym punktem w rozmałym krajobrazie jesteśmy my sami i nasz wewnętrzny świat. Możemy oddzielić się od rzeczywistości i konsekwencji, które płyną z usytuowania w przestrzeni, w jej konkretnym punkcie.

V. DOPEŁNIENIE

Ale tak jak nie ma światła bez ciemności czy porządku bez chaosu, tak przecież nie ma podróży bez trwania w miejscu. Być może nie zgodzę się teraz z Olgą Tokarczuk, stwierdzając, że nomadyzm jest w nas wpisany równie mocno jak osiadłość. Dwa punkty: ten w ruchu i ten stały nie istnieją bez siebie.¹⁰ Marta z powieści „Dom dzienny, dom nocny”, o której mamy prawo sądzić, że nigdy nie opuściła swego miejsca zamieszkania, wymyka się owemu, zdawałoby się, aksjomatowi o zakorzenionej w człowieku potrzebie ruchu. Twierdzi, że siedząc w domu poznaje świat lepiej niż w podróży¹¹. Są więc i tacy, którzy w stałości próbują odnaleźć to, czego ci ruchliwi przecież też nie są w stanie odszukać. Bez siedzenia w miejscu nie ma podróżowania, bo kiedyś przecież trzeba gdzieś wrócić, lub przynajmniej zatrzymać się na jakiś czas, choćby po to by odpocząć.

I może podróżujemy właśnie po to: by powrócić i usiąść przy kominku. Nawet Annuszka w końcu wróciła do domu. Gauche też „ubrał się ciepło, zarzucił kij na plecy i, balansując na krawędzi przepaści, ruszył tam, skąd przyszedł”.¹²

⁷ *Ibidem*, s. 901.

⁸ O. Tokarczuk, „Podróż ludzi Księgi”, Warszawa 1996, s. 47.

⁹ *Ibidem*, s. 46.

¹⁰ Zob. np. „Próby stereometrii podróźnej”: kapitalne zetknięcie się w linii prostej dwóch nie mających o sobie pojęcia ludzi; lecącego samolotem i spoglądającego na ziemię ze stojącym na ziemi i spoglądającym w niebo. O. Tokarczuk, „Bieguni”, Kraków 2007, s. 369.

¹¹ O. Tokarczuk, „Dom dzienny, dom nocny”, Kraków 2005, s. 61.

¹² O. Tokarczuk, „Podróż ludzi Księgi”, Warszawa 1996, s. 216.